

ACADEMIA kooperatyzm

PANORAMA



ZAPOMNIANE MARZENIE

DR ALEKSANDRA BILEWICZ



O tym, czym było Społem, co przetrwało, a co je unicestwiło, mówi **dr Aleksandra Bilewicz** z Uniwersytetu Warszawskiego.

ACADEMIA: Związek Polskich Spółdzielni Spożywców. Większości kojarzy się wyłącznie z PRL, czyli źle. Jego korzenie sięgają jednak dalej. Dlaczego zostały zapomniane?

ALEKSANDRA BILEWICZ: Właśnie z powodu tego, co wydarzyło się w okresie powojennym. W PRL Społem zostało przekształcone w organizację gospodarczą, nad którą kuratelę sprawowało państwo, i co za tym idzie, zmuszone do realizacji planu gospodarczego, co zaprzecza podstawowym ideom spółdzielczym: demokracji i autonomii. Późniejsza transformacja ustrojowa spowodowała zaś zanegowanie dziedzictwa PRL, co jest oczywiście zrozumiałe, ale niejako – za jednym zamachem – spółdzielczości. Idea, która w Polsce się rozwijała się od lat 60. XIX w., została sprowadzona właściwie do jednego z symboli nieefektywnej, centralnie planowanej gospodarki. W 1990 r. na mocy tzw. specustawy spółdzielczej rozwiązano dawne związki i powiedziano spółdzielniom: radźcie sobie same, bez wsparcia, jakie dawały im wcześniej spółdzielcze centrale. I wszystko się rozpadło. Niektóre się sprywatyzowały, inne pozostały formalnie spółdzielniami, ale były, używając terminu historyka spółdzielczości Adama Piechowskiego, „niespółdzielczymi spółdzielniami”, w których nie przestrzegano podstawowych zasad.

Czy w tej niepamięci znaczenie ma też konflikt między polską mentalnością romantyczną i pozytywistyczną? Spółdzielnie czy kooperatywy to chyba przejaw myślenia o społecznym tu i teraz, które wpływa na przyszłość?

Rzeczywiście, można powiedzieć, że ten ruch wywodzi się z nurtu pozytywistycznego, który nie znajduje się w centrum polskiej kultury. Ja bym jednak broniła tezy, że etos spółdzielczy to nie tyle zaprzeczenie romantyzmu, ile twórcza synteza nurtu pozytywistycznego z romantycznym. Idea kooperatywy spożywczej narodziła się w XIX-wiecznej Anglii. Robotnicy i działacze społeczni z miasta Rochdale, w którym dominował przemysł tkacki, założyli pierwszą klasyczną, kanoniczną kooperatywę, której członkowie ustanowili zasady spółdzielcze, zwane zasadami roczdelskimi.

Pomysł na zaszczerpienie ruchu spółdzielczego na ziemiach polskich propagowały początkowo warszawskie kręgi pozytywistyczno-liberalne. Postępowe, związane z ideą pracy organicznej, głoszące potrzebę mozolnego budowania od podstaw niezależnej egzystencji narodowej i gospodarczej. Demokracja gospodarcza, jaką była spółdzielczość, idealnie się w to wpisywała.

Właściwy rozwój spółdzielczości spożywczej datuje się jednak od 1906 r., od powstania Towarzystwa Kooperatystów. Jego założycielami byli w większości ludzie powiązani w przeszłości z PPS, socjaliści z nurtu niepodległościowego. A w polskim socjalizmie nurt romantyczny – związany nie tyle ze ste-

reotypowym szaleńczym zrywem, ile z działaniem dla idei, ale zarazem żywiołowym – był silnie obecny. Z jednej strony mamy ideowego przywódcę ruchu, Edwarda Abramowskiego. Był wielkim myślicielem, filozofem, twórcą polskiej psychologii, ale jednocześnie określano go jako lekkoducha. Był przekonany, że idea kooperatywu zmieni świat, a Polsce pozwoli odrodzić się w zupełnie nowy sposób – jako społeczeństwo zorganizowane w demokratyczne kooperatywy, które pokonają kapitalizm. Z drugiej strony wśród ojców założycieli mamy Romualda Mielczarskiego, późniejszego dyrektora Związku Społem, twardo stąpającego po ziemi. Był on emigracyjnym działaczem niepodległościowym, ale jednocześnie skończył szkołę handlową w Antwerpii i przywiązywał ogromną wagę do tego przyziemnego, wymagającego buchalterii i codziennej ciężkiej pracy aspektu spółdzielczości. Tak naprawdę więc spółdzielczość była syntezą dwóch idei.

Komponent pozytywistyczny jest jednak łatwo zapanowany. Dzisiaj ludzie interesujący się spółdzielczością często podkreślają utopijną wizję zmiany społecznej, a nie tę mozolną, codzienną pracę.

Ten mozół towarzyszył spółdzielniom od początku?

Tak, powstawały przecież w bardzo trudnych warunkach i na trudnym terenie. Polska znajdowała się pod zaborami, więc zakładanie stowarzyszeń było utrudnione, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, gdzie Społem ma swoje korzenie. Powstawały one wśród ludzi biednych i niewykształconych, często niepiśmiennych, na wsi czy w kręgach robotniczych. Założyciele musieli pokonać nie tylko własne słabości, lecz także trudności związane z implementacją samej idei, przekonaniem ludzi do tego, że spółdzielnia to nie jest coś, co natychmiast ich zbawi, tylko coś, w co trzeba zainwestować swoje pieniądze, swoją lojalność i wysiłek. A on nie zwróci się natychmiast.

To, co potrzebne do funkcjonowania spółdzielczości, to jest to solidarność, ideowość, ale też ciężka praca, cierpliwość, wytrwałość. A te cechy rzeczywiście wydają się obce głównemu nurtowi polskiej tradycji narodowej – porywczemu, anarchizującemu, związanemu bardziej ze zrywem, a nie z twórczym mozółem.

Jak działało Społem?

Było związkiem spółdzielni spożywców pełniącym funkcję kontrolną i doradczą. Jednocześnie prowadziło hurtownię, w której spółdzielnie mogły zaopatrywać się w niedrogie produkty dobrej jakości. Początkowo funkcjonowało jako Warszawski Związek Stowarzyszeń Spożywczych, by po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. przekształcić się w związek ogólnopolski (ZPSS Społem).

A jak w praktyce działały spółdzielnie spożywców zrzeszone w Związku Społem?

DR ALEKSANDRA BILEWICZ

Grupa konsumentów zebrała się w demokratycznie zarządzanym zrzeszeniu, żeby pomijać pośredników handlowych, czyli kupować bezpośrednio od producentów, po to m.in., żeby marża, która trafia zwykle do kieszeni pośrednika, pozostawała u członków. W różnej formie, np. dywidendy od zakupu zwracanej pod koniec roku, przy czym część tej nadwyżki trafiała na rozwój spółdzielni.

Spółdzielcy zakładali sklep. Nie zawsze na początku mieli pieniądze na to, żeby zatrudnić pracownika, ale docelowo pracował tam sklepowy. Raz do roku lub częściej członkowie spotykali się w drodze głosowania decydowali o najważniejszych bieżących sprawach spółdzielni, a także wybierali zarząd i radę nadzorczą. W polskim ruchu spółdzielczym starano się zabezpieczyć kooperatywę w ten sposób, żeby nie było układów – według ustawy z 1921 r. we władzach nie mogły być osoby ze sobą spokrewnione czy spowinowacone, co utrudniało opanowanie jej przez jedną rodzinę czy przez jakąś klikę.

Ważny jest kontekst powstania spółdzielczości, jakim jest rewolucja przemysłowa i powstanie nowej klasy robotniczej. Ona pozostawała najsłabszym ogniwem społecznym: nie miała żadnych praw, była bezsilna wobec zmiennej koniunktury rynkowej i kaprysów przedsiębiorców. Z drugiej strony towary, które oni mogli kupić, okazywały się często złej jakości. Spółdzielnia była szansą na pewną niezależność w obu sprawach.

Jak chciano tę szansę wykorzystać?

Obowiązywała zasada: jeden człowiek, jeden głos. Poza tym autonomia oraz neutralność polityczna i religijna. No i nie można było czerpać zysków z bycia w kooperatywie – dostawało się jedynie dywidendę od zakupów. Mówi się o tym często tak, że w zwykłym przedsiębiorstwie kapitał jest na pierwszym miejscu, a człowiek na drugim. W kooperatywie człowiek jest najważniejszy, a kapitał stanowi tylko narzędzie, które pozwala wydobyć się z biedy, a w dalszej kolejności zaspokajając potrzeby kulturalne.

Bo spółdzielnie z nadwyżki otwierały czytelnice, świetlice, organizowały swoim członkom życie kulturalne, społeczne, którego często byli całkowicie pozbawieni. Tę pierwotną ideę wkrótce rozwinięto w doktrynę tzw. pankooperatywności, która zakładała, że federacja demokratycznych zrzeszeń spółdzielczych przekształca stosunki gospodarcze. Tyle że nie w sposób rewolucyjny, a pokojowy, tzn. że kapitał upadnie pod naporem tzw. zorganizowanej konsumpcji, że spółdzielczość tak się rozrośnie, że system kapitalistyczny straci rację bytu.

Rzeczywiście Społem odniosło ogromny sukces. Było największą organizacją handlową w Polsce, potężną siłą. Jednak ani w Polsce, ani na świecie spółdzielnie nie osiągnęły swojego dalekosiężnego celu, jakim było pokonanie kapitalizmu.



JAKUB OSTALOWSKI

Dlaczego się nie udało?

Chyba dlatego, że człowiek nie jest doskonały. Trochę naiwnie zakładano, że wszyscy będą chcieli przystąpić do spółdzielni i że wszyscy będą mieli na tyle samozaparcia i cierpliwości, żeby w nich pozostać. Momentem załamania tej wiary był wielki kryzys ekonomiczny w 1929 r. Wiele spółdzielni upadało, a wśród spółdzielców zaczęły narastać tendencje bardziej etatystyczne, wynikające z obawy, że oddolne zrzeszenia nie są w stanie sobie poradzić z tym, co jest w kapitalizmie destrukcyjne, że potrzebna jest jednak interwencja państwa.

Prasa spółdzielcza pełna jest samokrytyki. To też jest ciekawe: ten ruch był refleksyjny, opisywano problemy, np. to, że członkowie są niełojalni. A lojalność była dla kooperatywy bardzo istotna – jeśli się już do niej wstąpiło, to należało być wiernym jej sklepowi, a nie np. kupować u prywatnego sklepikarza, jeśli tam było taniej. Oczywiście nie wszystko funkcjonowało zawsze w tak idealny sposób jak w teorii. Władze spółdzielni nie zawsze były krystalicznie czyste, zdarzały się osoby nieuczciwe czy leniwe. Zdarzało się piniactwo, próby przejścia spółdzielni przez siły polityczne.

Społem, choć wywodziło się z kręgów socjalistycznych PPS, stało na straży tzw. neutralności spółdzielczej, czyli tego, że spółdzielnie nie angażują się w politykę. Członkowie mogli mieć różne poglądy, ale zostawiali je za drzwiami. Pojawiały się oczywiście konkurencyjne ruchy. W 1919 r. powstał np. Związek Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych, zdominowany przez radykalnych lewicowców i komunistów, którzy uważali, że spółdzielczość jest częścią ruchu robotniczego i w związku z tym powinna podlegać szerszemu ruchowi politycznemu. Prowadzili

Dr Aleksandra Bilewicz

jest socjolożką z Instytutu Studiów Społecznych im. Roberta Zajonca na UW. W latach 2015–2018 współrealizuje projekt „Tradycje polskiego kooperatywności” finansowany z Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Autorka dwutomowej książki „Społem 1906-1939. Idea, ludzie, organizacja” (wyd. Oficyna Naukowa, 2017).

ambilewicz@gmail.com





ARCHIWUM AKT NOWYCH/ARCHIWUM SPOŁEM

Fot. str. 4
Kolejka w sklepie
spółdzielczym, lata 30.

Fot. str. 8
Witryna sklepu w Cieszynie,
lata 30.

Fot. str. 10
Ilustracje z wydanego
przez Związek Spółem
kalendarza na 1924 r.

agitację, więc ich środki często szły na cele partyjne i nie był to już ruch niezależny. Choć ZRSS ostatecznie w 1925 r. połączył się ze Spółem, podziały polityczne wewnątrz ruchu pozostały. Były też w spółdzielczości nurty prawicowe czy konserwatywne. Zwłaszcza w Wielkopolsce miała ona oblicze bardziej mieszczańskie, przywódcami ruchu zostawali często duchowni. Niektórzy bardziej prokapitalistycznie nastawieni działacze chcieli zrezygnować z tych cech spółdzielni, które uniemożliwiały im upodobnienie się do przedsiębiorstw. Postulowano np., żeby niektórzy członkowie mogli mieć więcej udziałów od innych. Na tym tle wyrastało też wiele sporów politycznych i ideowych.

A pieniądze były problemem?

Częściowo tak, ale spółdzielnia to nie była kwestia czysto finansowa. Niełatwo było do niej należeć – należało wpłacić wkład, nie było też sprzedaży „na zeszyt”, co przed wojną zyskało popularność. Ale była to też kwestia solidarności i wytrwałości, której ludziom często brakowało. Dlatego też Spółem dużą wagę przykładało do edukacji. Wydawało broszury rozwijające idee spółdzielcze, czasopisma – jak dwutygodnik Spółem skierowany do bardziej zaangażowanych spółdzielców czy popularne pismo „Spółnota”. Organizowało różnego rodzaju kursy, wyjazdy integracyjne, działania skierowane do młodzieży, które miały roznieść spółdzielcze idee.

Zdarzyły się próby przejęcia spółdzielni i przerobienia ich na prywatny biznes?

Oczywiście to się zdarzało. Są doniesienia o nieuczciwości czy to sklepowego, czy zarządu. Słabości ludzkie

były widoczne, ale też silnie piętnowane. Obraz nie jest jednak taki, że ten ruch utonął w morzu chciwości, bo bardzo wiele spółdzielni funkcjonowało prawidłowo, ruch był silny i autentyczny.

I prężnie się rozwijał?

Tak. Kiedy w 1906 r. powstało Towarzystwo Kooperatystów, czyli taki załączek Spółem, prowadziło jedynie działalność bardziej edukacyjną, propagującą ideę spółdzielczości. W 1911 r. powstała hurtownia.

Dojrzałość Spółem przypadła na czas po I wojnie światowej. Wtedy zajęło się ono nadzorem nad spółdzielniami i ich wsparciem – sprawdzało, czy wszystko działa tak, jak należy, i po dogodnych cenach dostarczało innym spółdzielniom produkty.

Od 1930 r. Spółem miało także własny bank, założony z potrzeby dysponowania własnym kapitałem. Spółem stało się również producentem, miało własne zakłady, np. Kielcach, do tej pory funkcjonujące. Teraz produkowany jest tam m.in. majonez kielecki.

A wtedy?

Rzeczy związane z gospodarstwem domowym, np. pastę do podłóg, mydło, proszki do prania.

W latach 30. zaczęto wyrabiać soki owocowe. We Włocławku była fabryka słodczy. Spółem miało również własne młyny, więc produkowano mąkę.

Importowało też pod własną marką kawę, herbatę czy rodzyнки, eksportowało zaś np. jajka i meble gięte, m.in. do Anglii.

Co się stało w czasie II wojny światowej? Spółem zasnęło i przeczekiwało?

DR ALEKSANDRA BILEWICZ

Paradoksalnie ilościowo się rozwinął. Związek stracił swoją nazwę i dostał się pod kuratelę niemiecką. Z jakiegoś powodu, co wymaga dalszych badań, Niemcy stwierdzili, że korzystne jest utrzymanie tej organizacji, prawdopodobnie ze względów czysto aprowizacyjnych. Może chodziło o to, żeby w sytuacji niedoboru ludzie sami sobie organizowali żywność. Tyle że zakazano jakiegokolwiek działalności ideowej, można było wydawać tylko biuletyny gospodarcze, informatory handlowe czy publikacje dotyczące higieny. W podziemiu jednak prowadzono ciągle działalność społeczno-wychowawczą, organizowano wyjazdy, kursy. Społem miało też kontakty z ruchem oporu, z AK i Batalionami Chłopskimi. Z jednej strony była oficjalna działalność gospodarcza pod kierownictwem komisarza niemieckiego, a z drugiej – nieoficjalna, polegająca na wsparciu podziemia i aprowizacji różnych osób, które znalazły się w trudnej sytuacji: artystów, pisarzy, jak Maria Dąbrowska. Wysyłano też paczki do więźniów obozów koncentracyjnych. Pojawiały się też przypadki pomagania Żydom. Była to zasługa ówczesnych władz – Mariana Rapackiego, dyrektora związku od 1926 r., który zginął w czasie powstania warszawskiego w trakcie działań służbowych, czy Stanisława Dippa, członka zarządu, który również zginął w 1944 r. w Warszawie.

Czyli czego nie zabił Niemiec, zabił Rosjanin?

Można tak powiedzieć. Społem jakoś okupację przetrwało, natomiast w sensie istoty tej organizacji nie przetrwało komunizmu.

Dlaczego?

Książkę szczegółowo dokumentującą wpływ polityki PRL na spółdzielnie przygotowuje w ramach serii naukowej „Kooperatywizm”, którą współredaguję wraz z dr. Bartłomiejem Błesznowskim z ISNS UW, Adam Benon Duszyk, badacz i fascynat spółdzielczości z Radomia. Powiem ogólnie, że już pierwsze ciała komunistyczne, takie jak Krajowa Rada Narodowa, postanowiły, że spółdzielczość będzie filarem gospodarki państwa ludowego, co jednak wiązało się z jej centralizacją i utratą autonomii. Już w 1944 r. na Kongresie Spółdzielczym w Lublinie zdecydowano o scaleniu całego polskiego ruchu spółdzielczego, którym zawiadywać miały dwie centrale: gospodarcza i rewizyjna. Kwestie ideowe zostały więc oddzielone od gospodarczych, co w spółdzielczości nie miało nigdy miejsca. Społem został nazwany Związkiem Gospodarczym Spółdzielni RP i miał odtąd pod sobą nie tylko spółdzielnie spóżywców, jak przed wojną, ale też np. kredytowe, handlowe czy mleczarskie. Całkowicie zreorganizowano spółdzielczość na wsi – powstały tzw. gminne spółdzielnie, które przejęły dawne spółdzielnie spóżywców. I to też było sztuczne, bo Społem było jednym ruchem, miejskim i wiejskim, w ramach którego było miejsce na pluralizm społeczny,

a co za tym idzie – na spór ideowy. W 1948 r. utworzono Centralny Związek Spółdzielczy. Oznaczało to kolejną odgórną reorganizację i jeszcze ściślejszą centralizację. Od 1949 r. spółdzielczość musiała realizować założenie planu gospodarczego, otrzymując rolę podrzedną wobec przedsiębiorstw państwowych. Za sprawą tych niedemokratycznych zmian Polska utraciła swoją reprezentację w Międzynarodowym Związku Spółdzielczym. Na fali liberalizacji popaździernikowej zlikwidowano CZS. Jednak w 1965 r. w ramach spółdzielczości spóżywców przeprowadzono centralizację spółdzielni, tworząc 23 ogromne spółdzielnie wojewódzkie. Były to masowe organizacje, z którymi trudno było się identyfikować szeregowym członkom.

W efekcie tych wszystkich zmian Społem stało się monopolistą w handlu, co było pokraczną realizacją wizji, że spółdzielczość zwycięży kapitalizm. Zwyciężyła w ten sposób, że stała się oficjalnie popieraną przez państwo i przestała być demokratyczna. Ludzie przestali ją współtworzyć z własnej potrzeby, bo uczestnictwo było de facto obowiązkowe. To jest to przekleństwo, które się za ruchem spółdzielczym w Polsce ciągnie do dziś. Te, które obecnie funkcjonują, zarzuciły swoje zasady, działają jedynie siłą rozpędu. W ten sposób zniszczono ważną tradycję instytucjonalną, jaką była niezależna spółdzielczość. A to właśnie brak trwałości instytucji jest jednym z ważnych czynników, które utrudniają rozwój naszego kraju.

Jakieś organizacje przywracają chyba prawdziwą ideę spółdzielczości?

Są takie działania, ale na bardzo niewielką skalę. Do idei spółdzielni spóżywców próbują nawiązywać kooperatywy spóżywcze, które badałam w ramach pracy doktorskiej. To są niewielkie grupki konsumentów, którzy organizują sobie żywność bezpośrednio od rolników, omijając pośredników. Są demokratycznie zarządzane, niektóre podchodzą nawet bardziej radykalnie do tej kwestii – w ogóle nie uznają hierarchii stanowisk, zarządzane są metodą konsensusu. Nawiązują do idei Edwarda Abramowskiego, do kooperatywu jako ruchu oddolnego, demokratycznego i antykapitalistycznego.

Ale są też duże różnice. O ile kiedyś spółdzielnie powstawały w kręgach ludzi raczej biednych, ciężko pracujących fizycznie, którzy potrzebowali produktów pierwszej potrzeby, o tyle dziś zakłada je szeroko rozumiana klasa średnia czy inteligencja, nastawiona na konsumpcję towarów dobrej jakości, np. żywności ekologicznej.

Ruch ten nie ma raczej szans stać się tak powszechnym jak wówczas. Ważne jest zaś to, że dzięki kooperatywom w ogóle przypomniano sobie ideę. A także wyciąga się rękę do drobnych rolników, których pozycja w dzisiejszym świecie wielkiego agrobiznesu i sieci handlowych nie jest najlepsza. Może jest to szansa na odnowę tego rolnictwa, wręcz modę na małe

ACADEMIA panorama kooperatyzm



gospodarstwa ekologiczne. W tym sensie jest to duża wartość, ponowna próba budowania mostu między miastem a wsią. Tak to zresztą opisywała fascynatka spółdzielczości Maria Dąbrowska w wydanej w 1938 r. książce „Ręce w uścisku. Rzecz o spółdzielczości”: to jest nie tylko korzyść dla miejskiego konsumenta, ale też dla rolnika, który może sprzedać po cenach „słusznych”.

Nie wiem, jaka będzie przyszłość tego ruchu, ale ziarno zostało zasiane. Wzrasta zainteresowanie spółdzielczością, pojęcie traci swoje odium. Od kilkunastu lat powstają także spółdzielnie socjalne, czyli rodzaj spółdzielni pracy. Widzę też, że dzisiejszy związek spółdzielni Społem też zaczyna się interesować swoimi korzeniami. Na spotkaniu dotyczącym mojej książki w Zachęcie pojawił się wiceprezes tego związku, który bardzo chce odnawiać oblicze ideowe tego ruchu, więc kto wie? Może i te spółdzielnie społemowskie jakoś wrócą do swoich demokratycznych korzeni?

Czy odradzanie się nawet małego ruchu spółdzielczego jest również rodzajem budowy społeczeństwa obywatelskiego?

Sam sposób rozumienia społeczeństwa obywatelskiego jest w moim pojęciu wynikiem zapomnienia idei spółdzielczej. Społeczeństwo obywatelskie ma obejmować organizacje funkcjonujące niezależnie od spraw gospodarczych. Natomiast istotą spółdzielni było połączenie gospodarki i demokracji. Nie pamięta się dziś, że to nie są oddzielne sfery, w których społeczeństwo funkcjonuje. Uważa się, że z jednej strony jest przedsiębiorczość i tego demokracja nie dotyczy, a z drugiej są NGO czy organizacje nieformalne, które są polem działalności obywatelskiej. Jednak jeśli rozszerzylibyśmy to pojęcie, kooperatywy mogą być realizacją idei społeczeństwa obywatelskiego i na pewno się przyczynią do ożywienia tego, co wspólne.

Tyle że z tym pojęciem mamy problem?

Tak. Z racji tak, a nie inaczej ukształtowanej przez naszą historię mentalności. Pojęcie dobra wspólnego stało się w pewnym momencie karykaturą samego siebie. Wspólne zaczęło oznaczać niczyje, skojarzyło się z tym, co przymusowe i gorszej jakości. Spotykało się z pogardą, nikt o to nie dbał, najwyżej wykorzystywał dla własnych celów. To także – choć powoli zaczyna blaknąć – dziedzictwo słusznie minionego systemu.

Jest jeszcze jedno: przekonanie, że Polacy są zdolni do działania razem tylko w obliczu wspólnego wroga.

Historia Społem to przykład, że potrafią inaczej. Dlatego warto ją poznawać, propagować i się do niej wciąż odwoływać.

Z DR ALEKSANDRĄ BILEWICZ
 ROZMAWIAŁA KATARZYNA CZARNECKA